KLASYKA MNIEJ ZNANA



Eliza Orzeszkowa
Juliusz Romski

AD ASTRA

universitas

AD ASTRA

DWUGŁOS

Powieść *Ad astra* (1904) to dzieło wspólne Elizy Orzeszkowej i Tadeusza Garbowskiego (pseud. Juliusz Romski) napisane w formie listowego dwugłosu. W roku 1899 literat-amator, Tadeusz Garbowski (ur. 1869), z zawodu przyrodnik, w latach późniejszych profesor filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponował sześćdziesięcioletniej wówczas Orzeszkowej napisanie wspólnej powieści. W początkach roku 1902 dzieło było już właściwie skończone, choć wymagało drobnych zmian i poprawek. Listy Orzeszkowej wymownie ukazują trudności stawiane przez oporny materiał powieściowy, kształtowany przez dwoje dalekich od siebie autorów. Pisarka uciekała się do pomocy zawodowych krytyków – czytała powieść J. Kallenbachowi, zapoznała z nią W. Bogusławskiego.

Spór ideowy, któremu autorzy starali się nadać aktualność, skomplikowany wzajemnym szacunkiem i sympatią uczuciową, toczy się w powieści między kobietą obdarzoną blaskiem duchowego dostojeństwa a młodym filozofem, który pretenduje do rozwiązania ostatecznych zagadek bytu, początkowo czyniąc to w duchu pozytywistycznego scjentyzmu, potem na sposób nietzscheański. Narracja oscyluje między esejem filozoficznym a poetycką prozą opisową i alegoryzującą w stylu późno-romantycznym.

KLASYKA MNIEJ ZNANA

Eliza Orzeszkowa, Juliusz Romski

AD ASTRA

Kraków

© Copyright for Klasyka Mniej Znana
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2003

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:
Eliza Orzeszkowa, *Pisma zebrane*, pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, t. XXXV, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza", Warszawa 1950, według wydania Gebethnera i Wolffa, Warszawa-Kraków 1904.
Tekst zmodernizowany według obowiązujących zasad ortograficznych i interpunkcyjnych.

ISBN 97883-242-1015-2
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii
Ewa Gray

W PUSZCZY

I

Na zachodzie, daleko, za przestrzeniami lasu, których wzrok orli nawet przemierzyć by nie mógł, zza miedzianych lub krwistych purpur zorzy wieczornej rozpływa się po błękitach morze bladego ognia i do lasu wlewać się poczyna, jak miód bladozłoty do szmaragdowej czary. W poświacie tej, z rozpylonych niby pierścieni ślubnych powstałej, pęka i kruszy się ściskający przedmioty cement leśnych zmroków, a od dna do podniebnej wyżyny wszystko rozstępuje się, wyodrębnia, otwiera na oścież głębie tajemnicze i dale niezmierne, w których jak w czarnoksięskim pałacu zaklęta królewna-życie oddycha na łożu, usłanym z zadumy i ciszy.

Zadumy, cisze, zmroki wieczorne, ciemności nocne ścielą tu całuny uśpienia i smutku; mgły snują żałobne przędziwa, mróz ze szronu i lodu wykuwa szklane trumny i z grozą gromów, z wirem wichrów przetaczają się burze zimowe i letnie, a zaklęta królewna żyje – i nie przerywa się nigdy, choć niekiedy przycicha lub słabnie bicie jej nieśmiertelnego serca. Nie znikają też nigdy ze stropu jej pałacu, choć niekiedy za chmury się kryją, słońce i gwiazdy, a gdy w rumieńcach jutrzni albo w ogniach zorzy wschodzą nad światem pogodne wieczory i ranki, wzbija się od niej tysiąc głosów, tysiąc woni, tysiąc ech i po tajemniczych głębiach, po niezmierzonych dalach jej komnat tysiącem strumieni rozpływa się czar piękności.

Za gęstwinami i drogami, za polanami i łąkami, za strumieniami i rzekami stoi B ó r - L a d a, klejnot puszczy najdrogocenniejszy, odwieczne dziedzictwo olbrzymek. Ze wszystkiego wokół najsta-

rożytniejsze żyją tu same jedne sosny, potężnie broniąc państwa swego od najścia plemion innych. Jak przystoi olbrzymkom, nie zbiegają się w tłumy, lecz znacznymi odległościami rozłączone korony rozłożyste wznoszą w podchmurne wyżyny na pniach prostych i gładkich, jakby je w kształty kolumn utoczyły dłuta mistrzów-architektów. W siwych koronkach porostów lub rdzawoczerwone od przejmującej miąższ ich żywicy kolumny te, występując jedne zza drugich, zdaje się jakby w nieśmiertelnej gonitwie dążyły w nieskończoność bezprzestanną; budują i krzyżują labirynty portyków z dachami rzeźbionymi we wzory iglaste, z podłożami wysłanymi puchem mchów i wrzosów. Czasem na podłożach rojem iskier rozsypują się korony drobnych kwiatów, lecz słabe to życie na wodzy trzymają olbrzymki, wielkimi hausty wypijające soki z ulubionej swej gleby piaszczystej, w ciszach głębokich i w woniach octowych, które u ich podnóży biją z łańcuchów gór mrówczych. Cicho i czysto. Po śliskiej powierzchni opadłego igliwia mrówcze ludy same jedne chodzą drogami przez plemię ich ubijanymi od wieków i gdzieniegdzie, u stóp kolumn wznoszących pod niebo hymn wzrostu i siły, dawno pomarłe bajraki rozciągają strugi krwistego próchna. Cicho. Ptaki nie mają tu jagód, pszczoły wody, a motyle kwiatów. Nic nie lata, nie śpiewa, nie świegoce. Dzięcioł tylko miarowo kędyś stuka, piskle krogulcze ostrym poświstem ozywa się na wierzchach i w dali zadźwięczały krótkie, urywane dzwonki. Co zadzwoniło? To jelenie zaszczekały. Biegną; z głuchym tętentem, po przezroczystych portykach przewijają się rudą smugą ciał potężnych a lekkich, które zalotnie kołyszącym się krokiem omijają kolumny, królewskimi rogami na tych luźnych przestrzeniach zaledwie potrącając opuszczające się z gałęzi włochate brody mchów drzewnych. Nagle górą poleciały, w gałęziach zaszumiały wielkie skrzydła ptasie. Orzeł to był, czy jastrząb, albo krogulec? Jelenie stanęły, w długi sznur wyciągnięte podniosły głowy, rogi pokładły na grzbietach i wszystkimi parami oczu wpatrzyły się w ażur wysokiego dachu. W oczach tych bojaźń jest i z nieskończoną słodyczą niema prośba. Tak nieruchomością posągową tknięte, w błękitne plamy nieba zapatrzone, we wzroku i słuchu całe, stoją pod spływającym na nie miedzianym blaskiem zorzy; potem zrywają się znowu i z szybkością myśli czy strzały mkną dalej, dalej, tam, kędy czyni się ciemniej, gęściej, kędy z ziem chłodnych i tłustych, truflami i torfem pachnących nad-

chodzi ku państwu olbrzymek silny, młody, wojnę z zagładą niosący – J e ł o s m y c z.

J e ł o s m y c z to czysty, żadną przymieszką obcą nie skalany ród świerków. Świerki idą. Tłum postaci wyniosłych i zgrabnych idzie na podbój ziemi i jej żywiących soków. Z ostrymi iglicami gotyckich wież na głowach, w płaszczach rycerskich, z których naokół padają długie cienie, spieszą w bój z rodem prastarym, który ziemię tę zwłokami swymi utuczył i na dalekie morza rozsyłał heroldów jej sławy w postaci niezłomnych masztów. Dwa rody spotykają się z sobą, zwierają się, walczą. Widać, jak na kolumny sosen opadają ze stron wszystkich gęsto tkane płaszcze świerkowe, do stóp ich ścieląc cienie, dyszące wilgotną zgubą. Liściaste podszycia, natarczywie tłocząc się, wojskiem ciurów wspomagają szeregi zaborcze; coraz też częściej i gęściej iglice gotyckie strzelają ku niebu, a dokoła olbrzymek staje się coraz ciaśniej, ciemniej: – grzyby pachną, dymna woń torfu napełnia szczeliny, przenika pory gęstwin, czuć jakiś tryumf, tuż obok konanie, aż u zwężonych granic starożytnego państwa zwycięski J e ł o s m y c z rozpościerać poczyna ściśliwą, ciemną, iglastymi wieżycami zjeżoną, liściastymi firankami zawieszoną – S m u g ę C z a r n ą.

C z a r n a S m u g a, to uroczysko pełne postrachów i dziwów. Są tam u góry mosty napowietrzne, które wichry budują z ciał rycerzy złamanych i konające czoła opuszczających na łona towarzyszy; są pod świerkowymi płaszczami nawy niskie, bezkresne, milczące i mroczne jak potajemne kościoły; są wśród wywrotów, które z ziemi wydarte korzenie wyciągają w powietrze na kształt nóg przeolbrzymich pająków, trupy prastare, których nagie żebra bieleją, jak szkielety przedpotopowych potworów; są nory dziwne, ciemności i tchliny pełne, pomiędzy łapami świerków, które na rozstawionych, zda się, nogach wielkoludów, tułowia drzew wysoko nad ziemią podnoszą. W czarnych ciemnościach nor tych szeleszczą gniazda robacze i ostrożnie wyglądają z nich żółte głowy kun i łasic, gdy wyżej w gęstwinach igliwia pomykają we dnie wiewiórki rude, a nocami świecą zielone oczy i do łupieżczych poskoków zwijają się kocie ciała rysiów. Wichry goniące się po przestworzach i burze gromami huczące dna Smugi Czarnej nie sięgają. Ulewa kędyś wysoko hełmy gotyckie siekąca, po rycerskich płaszczach spływa rzadką rosą i w ziemię wsiąkając dobywa z niej za-

pach pleśni. Tu czasem orzeł-imperator zajrzy w ciemne rozdoły, załopoce potężnymi skrzydły i strąciwszy z drzew trochę gałęzi z dumnym szumem odpłynie w górę. Tu czasem w głębokościach najciemniejszych toczą się niestałe, grobowe mruczenia żubrów, wzbierając i milknąc, chrapiąc i rwąc się, do grzmotu, który by gamy swej we wnętrznościach ziemi próbował, podobne.

Podziemne to jest, ponure i roztaczające szerokie kręgi grozy. Nie wiedzieć, w jakiej twierdzy, obwarowanej ścianami rumowisk, zjeżonej nagimi żebrami szkieletów, kłótnia wybuchła i wszczęły się łoskoty, łomoty, stuki, które echa przewlekłe po lesie roznoszą. Słychać stękanie drzew, potrącanych przez ciała ogromne, trzeszczenie walących się łomów, suchy łoskot zwierających się rogów, tętenty racic, które w walce zaciekłej wyrzucają spod siebie bryły ziemi. Postrach idzie lasem. Cokolwiek wokół żyje, przypada do trawy, do liścia, do gniazda, do legowiska, do nory; pełza, kurczy się, zwija kręgi albo pierścienie, pożąda ukrycia się, zniknięcia. Aż nagle milknie wszystko. Wśród ciszy zaklętej, którą powszechna trwoga las napełniła, stary żubr zwyciężony rogatą głowę wychyla z gęstwiny i ciężki tułów przesuwa po przezroczystych kolumnadach Boru-Lady. Od gęstej grzywy, która falą wełnistą wzdyma się mu na grzbiecie, i długiej brody, opuszczającej ku ziemi kądziel starganą, powiało ckliwym zapachem piżma. Zwyciężony, zadumany, ponury, opuścił rodzinne stado, aby odtąd pustelniczą swą starość melancholijnie i groźnie obnosić pośród świateł i cieni, gróz i piękności, dzikich postrachów i słodkich pieszczot tej puszczy. Chodzić on będzie po szmaragdowych drogach, które wśród ścian niebosiężnych w dalekich dalach otwierają się na błękity lub na chmury niebios i po ścieżkach swawolnych, które tysiącem skrętów biegną ku srebrnym biegom strumieni. Pójdzie on tam, kędy na olchach łąk wilgotnych wieszają się białe opary i trwożnymi błyski migocą ogniska pastusze; kędy na różowych marglach, na bogatych we wszelki liść Hrudach gibkie graby tysiącem ramion owijają wyniosłe wiązy; kędy z podnóżami zatopionymi w szkliwie wód czarnych jak smoła dęby pod samo niebo ciskają odwieczne swe wzrosty. Na zawsze uciszony słuchać on będzie w klonowych gajach, jak drzewa drżeniem liści, a ptaki śpiewnym chorałem witają radosne poranki, i na zawsze samotny ścigać wzrokiem zza grubej kolumny chyże sarny, stadami mknące ku wieczornym leżom. Spoczynek znajdzie tam,

kędy z wiecznie zielonych wąwozów jak z czar malachitowych ogromna i gorzka wybucha woń trawy, noszącej imię jego, albo tam, kędy błotne Nikary na przestrzeniach dla oka niezmierzonych rozstawiają wojska trzcin w kołpakach aksamitnych.

Na ogromnym mokrzadle Wielkiego Nikaru, w nurtach brodów posiadały łosie i głowy tylko, konchowatymi rogami oskrzydlone nad mętne powierzchnie podnosząc, na kształt samotnych bożków gryzą rozmarynem pachnące bahony. Wiatry na tych gładkich przestrzeniach jak bieguny na stepach hasają po niwach ajerów, irysów, grzybieni, przeciągle gwiżdżąc w oczerety – czajki krzyczą, bąk huczy, czapla przelatuje i dokoła głów łosich zorza łuny różane ściele po stojących wodach.

. . . . . .

. . . . . .

Drobna na wielkim obrazie przyrody, ciemna i cicha wśród jej blasków i głosów młoda kobieta stanęła w gaju osin, które kaskadami drżących liści szeleściały pośród milczących sosen. Suknia jej ciemną plamę kładła na rdzawość leśnego olbrzyma, lecz twarz w rumianej smudze zachodu jaśniała młodością promienną, jak w lipcowe upały Jaśnieje wśród cieni leśnych słoneczna korona arniki. Wiosna jej minęła, fiołki uwiędły i na trawy zroszone deszczami, zryte gromami opadły wątłe płatki anemon; lecz lato życia tak czyste i silne, jak oddechy tej puszczy, z którą bez przestanku żyła, wyrzeźbiło ją w harmonię kształtów i linii, właściwą wszystkim rzeczom skończonym w sobie, czystym i silnym.

Szafir źrenic jej, które teraz ku srebrzącym się kaskadom liści wznosiła, pogłębiły ostrza uderzeń serdecznych i blask ich uczyniły więcej podobnym do gorejącej łuny zachodu niż do radosnych świateł jutrzenki. Od wzniesionej ku górze jej głowy spływał jedwabnym ciężarem węzeł włosów z barwą dojrzałej pszenicy, a palce splecione wyprzędły wieki uprawy pokoleń, fizycznej i duchowej.

W metalicznym szmerze osinowego gaju, w ślizgających się dokoła smugach rubinowego światła ruchem zadumy czy modlitwy splotła ręce i zatopiła się w myślach.

«Stwórco i Władco wszystkiego, co oddycha, co oddycha usty oblanymi rosą szczęścia i tuż obok wargami ran, sączącymi krew bólu, jad krzywdy, znój walki, żałobę strat niepowetowanych; – Potęgo i Myśli najwyższa, która na niezmierzonej karcie wszech-

przestrzeni kreślisz niezliczone drogi i wikłasz je w zagadkę, z utopionym na dnie. Tobie jednemu znanym kluczem przeznaczenia; przed Twoją wolą kornie pochylam swą wolę i ku Twym gwiazdom wytrwale wzbijam serce, jak wiotki powój wici swe skłania do stóp, a od stóp wspina ku szczytowi leśnego olbrzyma...

Tyś to podjął mię z pospolitego mrowiska i w ręku swych wznosił wysoko, wyżej, aż mi w źrenice spłynęły blaski Twoich gwiazd – i zarazem Tyś promienie źrenic tych zgiął ku ziemi, wyostrzył w przenikliwość, wyciągnął w dalekowidztwo i ujrzeć im dał mary przeciągające przez świat z garbami nieszczęść i zbrodni, jak z górami, zasłaniającymi gwiazdy. Idą w dymach krwawych i stopy zwierzęce stawiają na gniazdach, na różach, na perłach, na śniegach niewinności, na purpurach królewskich ukochań. Słyszę pękanie czaszek ukoronowanych, rzężenie piersi bohaterskich, westchnienia róż konających, chrzęsty gruchotanych pereł...

Od kolebki brałam w siebie tę baśń nad baśniami, która tragiczną prawdą ciecze u podnóży tej puszczy, aż zmieszała się ona z krwią moją, zabarwiła opony mózgowe, uczucia w sercu wyprężyła jak struny na harfie... a baśń nieskończoną i prawda jej tragiczną jest, o Panie!

W tę niezmierną kartę, z której czytać mię nauczyłeś, zapatrzona, nie oglądałam się, nie zapobiegałam, nie widziałam, jak lata młodości na kształt fal wartkich u stóp mi płynęły, znikały, zanim więcierze swe zarzucić w nie zdołałam, jak własne perły moje w konsze serca roztapiały się we łzy, zanim zdołałam wykuć z nich sobie pancerz i diadem.

Ranek przeminął, południe nadeszło, przemija...

> Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
> Skłaniają skrzydła ku gwiazdom w polocie...

Gniazdo me spadło strącone od gromu... I jak drobne ptaszęta rozlatujące się z trwożnym szczebiotem, gdy orzeł wierzchem puszczy popłynie; jak trawa tak wybujała, że unikają jej niskie loty motyle; jak obłok, który nad świerkami stojąc srebrnym okiem wpatruje się w leśną ciemnicę, gdy inne w swobodzie po błękitach promiennych igrają – tak jestem sama...

> Oto pól Twoich umilkli śpiewacy,
> Oto dzień cały przetrwałam już w pracy!

Dlaczego, Panie?

Są na drogach tej puszczy brzozy płaczące, w których cieniu błogi spoczynek znajdują zmęczeni wędrowce; są na krzakach maliny, z których piją spragnione ptaki; jest na drzewach patoka miodna, ciekąca po korach przepojonych goryczą garbnika.

Są na ziemi ręce, które robaczki zagrożone zdeptaniem przenoszą na miejsca bezpieczne i latorośle od pni oderwane przywracają próchnicy ze zwłok ich przodków powstałej. Są serca, które wtórują wszystkim szumom, echom, trzaskom i hukom tej puszczy, bijąc w jej łonie, jak własne jej serce...

Czy dlatego?

Wsłuchuję się w serce swoje i mówi mi ono: tak! tak! Przez serca Ty, Panie, do ludzi przemawiasz!

Mam wiele mogił, do których chodzę w odwiedziny, i jedną najdroższą, w której na stepach dalekich brat mój śni o niebie nad puszczą tą zawieszonym.

Stara piastunka moja, gdy śmierć zamykała kochane jej oczy, rękę mą ściskając szeptała: 'Samą zostaniesz, samiutką jedną w tych wielkich pokojach...'

Nie było dla mnie ogniska...

Bo raz tylko... ale Ty wiesz o tym, który jesteś w sercu moim... raz tylko rękę wyciągnęłam po szczęście. Odeszło...

Kwiaty posnęły majowe...»

. . . . . .

. . . . . .

Gdy tak myślała, coś w oddali poczęło z cicha muskać mchy i paprocie. To łania biała biegła tak lekko, że od jej stąpań niekiedy tylko zachwiała się gibka latorośl osiki lub szerokim wachlarzem powiała paproć-orlica. Biegła wprost ku niej, na cząbrach kwitnących stanęła, zatopiła w niej czarne, przenikliwe oczy.

Wtedy też poświata bladozłota, która pyłem jasności eterycznej napełniała i przeświecała las, poczęła mącić się i gęstnieć. Linie zacierały się, kolory gasły, kształty wzajem na siebie następując przechodziły w stan tych widzeń fantastycznych, które szeregiem metamorfoz przeciągają po tle usypiających powiek. Natomiast w tym, co dla wzroku stawało się już tylko chaosem i fantasmago-

rią, o inne zmysły uderzyły dwa napowietrzne chóry: woni i dźwięków. Miody i smoły zapachniały, na spotkanie ich od mrówczych wzgórzy wypłynął ostry ocet, z żubrowych siedlisk powiały ckliwe piżma, zmieszane z goryczą dzikich gorczyc i ajerów, aż ziemia wionęła dymnym zapachem torfowisk, smakiem grzybnym i razowym, wilgocią gliny, pyłem piasków, próchen i może tych żwirów, które na głębokich spodach pozostawiło przed wiekami ociekające stąd morze. A w przepotężnym odetchnieniu ziemi ozwał się chorał dźwięków z początkiem nieznanym i końcem przepadającym w otchłaniach oddaleń. Nie wiedzieć gdzie, nie wiedzieć co mówiło, szemrało, pomykało, przelatywało... Jakieś poskrzypy i pomruki, trwożliwe szelesty, klekoty oddalone, turkoty głuche, mętne i wnet mdlejące wołania, westchnienia przewlekane przez echa, wszystko mgliste, szkicowane zaledwie, z przyczyną niewiadomą i konaniem towarzyszącym poczęciu...

Wtem wyraźnie, jasno, przeciągle popłynęły zapadającym w noc lasem srebrne brzmienia dzwonu.

Kto i gdzie dzwoni?

Czy w głębi Sarniego Skoku tak głośno rozszczekały się jelenie? Czy na Zamczysku zagrały ogary, których widma towarzyszą tam nocami widmowym myślistwom królewskim?

Nie: był to kościelny dzwon, lecz nie nad takim kościołem dzwoniący, który wznosi się na powierzchni ziemi. Rozbrzmiewał od Mogił, uroczyska, w którym pod ziemią i lasem, ze świątyniami, pałacami, ulicami swymi, całe, żywe, z żywą ludnością, stoi miasto, niegdyś w ziemię zapadłe. Pradawne to było; las niebosiężny nad nim wyrósł, lecz ono żyje i co dzień o zmierzchu wysyła nad ziemię głos kościelnego dzwonu, aby oznajmiał ziemi, że żyje.

Wyraźne, jasne, przewlekłe są brzmienia dzwonu, przez które miasto pogrzebane wysyła na świat swoją pieśń tragiczną. Czy skarży się albo o ratunek woła? Czy wysyła poselstwo rozkazów, upomnień i proroctw?

Na kwitnących cząbrach, z ręką wspartą o gibką szyję łani kobieta słucha dzwonu rozlegającego się w leśnej pomroce, a gdy nad uciszonymi wierzchołkami osin złotym okiem wybłyskuje pierwsza gwiazda, wznosi ku niej twarz wśród zmroku białą i usta jej poruszają się szeptem błagań, zwierzeń czy przyrzeczeń.

Jeszcze przez chwilę w oddaleniach wielkich rubinowe iskry

zorzy błądzą i migocą, lecz wkrótce gasną. Wdzięczna postać białej łani w krepy zmroku spowijana niknąć poczyna i – znika.

Dzwon na uroczysku mogiły rozbrzmiewa coraz ciszej, wolniej, słabiej i – milknie.

Nad uciszoną i ciemną puszczą wschodzą wysokie gwiazdy i złotymi oczyma wpatrują się w morze jej nieruchomych, milczących szczytów...

. . . . . .

Od Wielkiego Nikaru brzegiem puszczy bystro w głębokim łożysku płynie Lsna, a tam, gdzie Królewski Most zawiesza nad nią klamrę długą i zgrabną, nad rozległymi polami i łąkami dwór Krasowiecki stoi w odwiecznej, ciężkiej, ciemnej gęstwinie swych ogrodów. Szemrzącym szlakiem rzeki rozdzielony z puszczą wydaje się on w dal odrzuconym, końcowym akordem wielkiej pieśni.

Gęste sploty powojów owijały filary głębokiego ganku. W pokoju obszernym i niskim lampa płonęła nad stołem spiętrzonym książkami, dziennikami, więziami kwiatów, nićmi jedwabiów i smugi obfitego światła wysyłała na ganek przez drzwi wysokie i wąskie, przez wąskie i nisko osadzone okna. Szły stamtąd oddechy samotności, spokoju, pracy. Rezeda i róże pachniały. Rozlegały się dźwięki pięknej muzyki fortepianowej. Ktoś w głębi domu umiejętnie i pięknie grał.

Seweryna Zdrojowska siedziała w smudze obfitego światła i pogodnym wzrokiem spoglądała w wielką płataninę roślinną, która od brzegu do brzegu okrywała rozległy dziedziniec.

Z kruży natury napiła się mocnych czarów piękna, przy legendowych brzmieniach dzwonu oko w oko patrzała na gwiazdy, z chóru leśnych woni wzięła w siebie kroplę słodyczy miodnej i trochę tego pyłu, którym z głębokich spodów wieją żwiry rodzinne, aż w serce jej przedtem żałosne i roztęsknione spłynęła czarna perła szczęścia. Czarna, bo blasków tęczowych, których by nie owijały żałobne krepy – nie znała.

Pogodnie, prawie wesoło patrzała na drobne światła, mrugające wśród gęstej zieleni dziedzińca. Były to okna oświetlone blaskiem płonących za nimi ognisk rodzinnych. Przychodziły stamtąd tłumione oddaleniem urywki rozmów, wybuchy śmiechów, świegoty głosów dziecinnych. Głosy dobrze jej znane i dusze znane.

Splot losów ludzkich, drobnych, pokornych, licznych, którego nici spoczywały w jej dłoniach.

W głębi wielkiego domu ktoś grał ciągle umiejętnie i pięknie. Seweryna uśmiechnęła się do obrazu młodej artystki, która tam, w wielkim, niskim pokoju opowiadała muzycznymi tonami o duszy swej, zasmuconej przedwcześnie i ciężko. O czym to biedne, wdzięczne dziecko myśli, gdy z tak głębokim uczuciem wykonywa utwór genialnego mistrza? Czy o porzuconej w stronach dalekich mogile ukochanej matki? Czy o krótkich a dziwnych dziejach swego zakochanego i zawiedzionego serca?

Zwiedzione sztucznym światłem opływającym filary ganku dwa kwiaty powoju rozwinęły kielichy i z osrebrzonej zieleni patrzały parą szeroko rozwartych, ciemnomodrych oczu.

Seweryna uśmiechnęła się do tych oczu w milczeniu na nią patrzących.

Obejmował ją czar kwiatów, muzyki i gwiaździstego wieczoru. Rezeda i róże pachniały. Modrzewie jak czarne kolumny wzbijały się nad liściastą gęstwinę sumaków akacji, za którą światełka mieszkań ludzkich gasły i głosy ludzkie milkły.

We wnętrzu domu umilkła też muzyka, a w wysokich i wąskich drzwiach ganku ukazała się postać pełna wdzięku. Światło lampy oblewało wysmukłą kibić dziewczęcą i przesrebrzało płowe włosy, nie ukazując w pełni rysów twarzy białej jak narcyz. Zbliżyła się ku Sewerynie z zamkniętym listem w ręku.

– Od Idalii – rzekła z cicha.

Z rozdartego papieru wypadła twarda kartka, na którą Seweryna nie zdołała rzucić okiem, bo spostrzegła ją Henryka i z miękkich, pieszczotliwych ust jej wydarł się okrzyk. Uczucie przestrachu, zdziwienia, radości niespodzianej i przejmującego bólu zabrzmiało w tym okrzyku. Ręce jej trzymające wizerunek młodego mężczyzny drżały i nisko nad nim pochylała zarumienione czoło, aż powolnym ruchem osunęła się do kolan towarzyszki i twarz kryjąc w jej sukni cicho załkała. Płacz wstrząsał szczupłymi liniami jej pleców, a ręce białe jak narcyzy rozpacznym ruchem opasywały złoto włosów.

Więc tak! więc zawsze! Nie pocieszyła się, ani zapomniała.

Idalia Olska, ta płocha kobieta z sercem tkliwym i usty wielomównymi, miała od dawna zwyczaj przesyłania tu z szerokiego

świata, po którym jak motyl bujała wieści, opowieści, wizerunków. Przysłała teraz ten i ugodziła nim w serce tej dziewczyny jak grotem, który pogrążając się w ranę ból jej odnawia i zaostrza. Rozkochanej i opuszczonej ciężko jej było żyć; nie mogła zapomnieć, nie mogła zrozumieć...

Seweryna znająca dobrze te dwoistości natur ludzkich, które częstokroć w uplot nierozwikłany łączą ludzką wspaniałość i marność, nie rozumiała również. Kto to był? Kim, jakim był? Jakie pobudki, wahania, burze rządzić nim mogły, gdy wszystkimi urokami światowca i tą wykwintnością słów i uczuć, która w uczonym odsłania poetę podbijał serce, umysł, zmysły tego pięknego dziecka, a potem odjechał, nie wrócił, umilkł, zniknął? Jaką była ta dusza tak potężna i zarazem tak licha? Potężna być musiała, skoro talentem i trudem we wczesnej młodości podbijała już światy wiedzy i sławy; lichą być musiała, skoro po drodze swej siała łzy. Siew łez przerażał oczy jej, nawykłe do samotnego wpatrywania się w ideały siejące rosę pociech.

Wiedziała o nim wiele, a przecież nie rozumiała... Suchy wiatr kosmopolityzmu odniósł ojca jego w kraje dalekie. Tam wzrósł i w tamtejszej mowie zasłynął myślą niezwykłą, silną i śmiałą. Nie słuchał nigdy szumu zbóż na niwach rodzinnych ani rozbrzmiewających po leśnych głębinach dzwonów legendowych. Był latoroślą od rodzinnego pnia oderwaną, wspaniale wyrastającą na niwie obcej i nie zdawał się oglądać za niczym, ani wiązać się niczym, co nie było potęgą, blaskiem, sławą, radością życia.

W rozległym labiryncie drzew dom otaczających i gniazd ludzkich pełnym pogasły światła, pomilkły głosy, zapanował sen. U okna otwartego na modrzewie i akacje, przy lampie, którą oblatywały drobne motyle nocne, Seweryna wpatrywała się w wizerunek człowieka, o którym nie mogła przestać myśleć. Myśl o nim krzesała w niej gorącą iskrę niewiadomego pochodzenia. Brwi jej ściągnęły się do skupionej uwagi, a na ustach zawisł uśmiech niedowierzający. Z doskonale wykonanego wizerunku patrzyły na nią oczy mądre i chłodne, a wśród delikatnie zarysowanego owalu twarzy, cienkie wargi drgały uśmiechem ironicznym; lecz na kształtnym czole okrytym blaskiem myśli leżała śród brwi zmarszczka bolesna i rzucała na twarz całą rys zamkniętego w dumnym milczeniu cierpienia. Z młodzieńczej tej twarzy biły: mądrość, duma, ironia – i nie

było w niej szczęścia ani dobroci. W zamian, zza jej chłodu i dumy przeglądało coś z tych wiecznych tęsknoci, które zalewają spody dusz marzycielskich, i coś z tych gniewów, które je przepalają, gdy świat zjawisk ani świat myśli, ani świat uczuć, rojeniom i pragnieniom ich zadość uczynić nie mogą.

Ręce z wizerunkiem na kolana opuszczając pomyślała, że... nic dziwnego.

Nic dziwnego, że dziecko to pokochało tego pięknego, mądrego człowieka i że zapomnieć o nim nie mogło.

Wiedziała, jakim ciepłem serdecznym i jaką delikatnością starań Tadeusz Rodowski otaczał Henrykę wówczas, gdy na dalekim Południu śmierć przybliżała się do ukochanej jej matki. Wiedziała, że w jakiś wieczór letni nad brzegiem południowego jeziora, w ogromnym szumie wodospadu ogarnął ich płomień momentu takiego, o jakim zapomnieć zawsze niełatwo, czasem niepodobna. Osieroconym i zranionym ptakiem Henryka pod dach jej zleciała, pozostawiając za sobą mogiłę matki i nadzieję szczęścia. Zginęła jej też w dalekiej podróży rzecz nieprzepłacona: wiara w prawdziwość i trwałość uczuć ludzkich. I ani cisza jej domu, ani ciepło jej serca, ani przyroda, ani sztuka nie mogły dotąd ukoić serca, w którym z krótkiego kochania sączyły się nieustannie łzy bólu i sroższe od nich uśmiechy zwątpienia. Serce to było zbyt młode, ze strażami zbyt słabo jeszcze umocowanymi, aby zwycięsko zwalczać mogło ponure czynniki życia.

Przywykła na widok cierpień ludzkich do zapytywania u serca, rozumu, sumienia: co czynić? – Seweryna myślała długo, aż u okna otwartego na modrzewie i akacje, w świetle lampy, którą oblatywały motyle nocne, stanęła z powziętym w myśli zamiarem. Wiedziała już, co uczyni. Spróbuje naprawić to, co pękło w ręku może kaprysu albo przypadku.

W zamiarze swym widziała jasno to marzycielstwo nieśmiertelne, które ją samą wytrąciło z kolei powszednich i losy jej uczyniło niepodobnymi do innych. Daremnie płynęły po nim gorzkie wody życia; trwało, jak trwać musi ręką Boga naciągnięta w duszy ludzkiej struna. Trwało i wiecznie czepiając się blasków górnych zrywało się do walki z ciemnymi marami świata. Własne jej szczęście pękło w nim, jak zdeptana perła, a górne blaski umykały z dłoni. Wątła z niej prządka, z kądzieli ideału snująca nić złotą, którą

wciąż nożycami nieubłaganymi przecina Parka, siedząca na nieskruszonej skale rzeczywistości.

Tak myślała – i nagle ogarnęło ją zdziwienie. Nawykła do pilnego rozpatrywania się w pobudkach zamiarów swych i czynów odkryła wśród tych, które w tej chwili nią rządziły, jedną, niespodziewaną i tak niejasną, że zaledwie rozpoznać ją mogła. Jakkolwiek gorącym było współczucie jej dla cierpiącej, bliskiej i drogiej istoty, łączyła się z nim głucha chęć spojrzenia w głąb duszy niezwykłej i tajemniczej, głuche pragnienie wyrwania się z koła codzienności ku blaskom i płomieniom rzeczy odległych, niezwykłych. Człowiek, którego wizerunek trzymała w ręku, stawał przed wyobraźnią jej w postaci zagadki, wydawał się jej upostaciowaniem samej jednej tylko, niestrudzonej, dumnej, zimnej myśli; a przecież oko przenikliwe wyczytywać w nim mogło również jak myśl nieubłagane i dumne cierpienie. Dla woli i świadomości tajemnie, pomimo świadomości, pomimo woli, na ustach jej pąsowych, jak dojrzała jagoda kaliny, drgały pytania: kim jesteś? Skąd uderza źródło twego bólu? Dlaczego lekceważąco czy lekkomyślnie upuszczasz z rąk róże, strząsasz z serca krople napojów rajskich?

Jak ze snu obudzona, podniosła schmurzone czoło. Czyliż człowiek nigdy nie może do ostatka samego siebie od siebie odtrącić? Czyż te nawet dusze, które najgoręcej oddane są gwiazdom, wzdychać jeszcze muszą ku prochom drobnym i marnym? Czyż zawsze złoto uczuć musi zawierać w sobie przymieszkę lichego metalu?

Ciemność i cisza napełniały wielkie pokoje domu. W takich ciemnościach czepiają się po ścianach ćmy pomarłych nadziei i pod sufitami łopoczą nietoperze zwątpień; na takich ciszach kołyszą się jak na całunach melancholie bezdenne i marzenia tęskne...

W pobliżu Lsna szemrała kryształowo; w oddali Bór-Lada toczył posępną gamę szumu. I szły od niewidzialnej w ciemnościach puszczy westchnienia przeciągłe, wołania niewyraźne, szelesty, szmery, coś jakby lekkie po mchach stąpania łani – coś, jakby konające w odległościach echowych brzmienia dzwonu.

II

Białowieża – Krasowce.

Wspólna krewna nasza, pani Idalia Olska, wyjaśni Panu przy sposobności stopień zachodzącego pomiędzy nami pokrewieństwa, a jeżeli i potem jeszcze to przemówienie moje wyda się dziwnym, to niech Pan pomyśli, że popełniła je kobieta dzika. Idalia opowie Panu, w jaki sposób, przed laty dziesięciu, towarzystwo w salonach jej zgromadzone obdarzyło mię przydomkiem: dzika. Taką pozostałam na zawsze. Zawsze mieszkam w Puszczy i na świat patrzę spod kąta – puszczowego.

Od paru już lat z zajęciem ścigam wzrokiem tę świetną drogę, którą Pan idzie ku wielkiej zapewne przyszłości. Mam trochę nadziei, że mię Pan o przyczynę tego zajęcia nie zapyta, lecz jest to tylko nadzieja. Mieszkańcem odległej stolicy będąc może Pan nie spostrzegał nigdy, jak drzewa lasu gałęziami splatają się z sobą i jak kłosy na zagonie spójną falą oddają pokłon słońcu. Co do mnie, często i z podziwem myślę o tych magnesach, którymi natura pociąga ku sobie planety jednego systemu, drzewa jednego lasu, kłosy jednego pola i dzieci jednego rodu. Ja i Pan jesteśmy dziećmi jednego rodu; stąd chęci moje – i prawo – podziękowania za liść wawrzynu, który Pan rzuca na jego ciernistą niwę. Tak wczesne podboje wśród narodu nie tylko obcego, lecz wrogiego są tryumfem, który dzielimy z Panem, choćby Pan o tym nie myślał i o to nie dbał.

Wiem od Idalii, że miesiące wolne od prac naukowych przepędza Pan zwykle w Alpach, nad jeziorami południowymi, nad brzegami rozmaitych mórz. Czy nigdy nie przyszła Panu myśl spędzenia ich na wsi polskiej? Czy wiedza i młoda sława wystarczają jeszcze do czynienia widnokręgów Pana zajmującymi i ciepłymi? Bo słyszałam, że niekiedy blaski ich doświadczają zaćmień i że bywają na świecie takie śniegi, których one roztopić nie mogą.

Czy Pan nigdy jeszcze nie widział zaćmienia swoich słońc, ani uczuł tych szronów, które wśród dróg kwiecistych z nagła oblatują duszę?

Inne jeszcze pytania cisną mi się do myśli, bo przecież na żad-

nym płótnie malarskim nie ma tylu barw ani w żadnej melodii muzycznej tylu tonów, ile w człowieku, wyrzeźbionym przez naszą przesubtelnioną cywilizację, zawierać się musi zawikłań psychicznych. Ale – czy podejmie Pan koniec tej nici, którą przez daleką przestrzeń ku Panu zarzucam? Wszakżeśmy na jednym globie – dwa różne wcale duchy.

Więc już tylko poproszę, aby Pan przyjął od rodaczki i krewnej pozdrowienie najżyczliwsze, z którym przysyłam trochę leśnych woni naszych, trochę szmeru Lsny, kroplę z mgieł, budujących tu na łąkach pałace czarnoksięskie i promyk ze świecących nade mną gwiazd.

III

Szwajcaria – Interlaken.

Nie tylko odpowiadam Pani jako krewny, który szczerze cieszy się z nawiązania węzłów rodzinnych przez okoliczności i czas rozluźnionych – lecz podjąłbym z gotowością wielką ową rzuconą mi przez daleką przestrzeń girlandę z woni, mgieł i szmerów puszczy białowieskiej, podjąłbym ją nawet z pośpiechem, gdyby nie obawa, że połączyła mię ona z pustelnią krasowiecką tylko przez omyłkę, wskutek informacji błędnych. Mam w podejrzeniu wspólną krewniaczkę naszą, panią Idalię, zawsze bardzo na mnie łaskawą, że przesadnymi opowiadaniami, zapewne pochwałami, których mi nigdy nie szczędzi, w błąd Panią wprowadziła. Ona to chyba potrafiwszy wmówić w siebie, że dokonywam jakichś podbojów, że już czoło moje opasuje aureola wielkości, usiłuje innych o tym przekonać.

Z pięknym pozdrowieniem swym, za które wielce obowiązany jestem, zwróciła się Pani do zwyczajnego śmiertelnika, który tym tylko różni sie od przeciętnych szeregowców w życiu, że w braku

przymiotów potrzebnych do walczenia na arenach innych stał się molem książkowym, zgłębiającym problemata tak niezmiernie żywotne, jak psychologia ameby albo kwestia: czy przodkom naszym trylobitowej postaci w epokach sylurskich dogadzała więcej woda słodka czy słona? Dla tak mało zajmującego szeregowca szkoda woni bijących z litewskich lasów, pereł mgły zbieranych na łąkach, szmerów strumieni itd. W ten sposób obdarzony, może bym już dziś nie potrafił należycie skorzystać z tych darów rozwiewnych, jak asceta, któremu by ręka nieopatrzna rzuciła przez okno celi wiązkę purpurowych róż.

Jestem istotą wcale nieciekawą; do roli tryumfatora, który by rzucał promień sławy na niwę swego rodu, bardzo mi daleko. O uczoności swojej wiem to jedno, że nic nie wiem, a rozgłos imienia swego odgadywać mi pozwala tylko wzrastający zastęp współpracowników tak szlachetnych, że serca ich uderzyłyby niekłamaną radością, gdybym się w sposób jakikolwiek potknął na tym gościńcu, który – jak wieść niesie – wiedzie ludzkość do poznania prawdy. Słońca moje, o które Pani zapytuje, nie świecą wcale albo przynajmniej chwieją się płomykiem niestałym, tak jak ja sam nie jestem na horyzoncie wiedzy pochodnią, lecz chyba lampką, której drobne pobłyski ustawicznie chwieją się i roztapiają – w ciemnicy.

Oprócz darów powyżej wymienionych ofiarować mi Pani raczyła promyk z gwiazd, które nad głową Pani jaśnieją. Wszakże to metafora? I pozwalam sobie wyznać, że wydała mi się piękną. Wyobrażam sobie, że idzie w niej o tak zwane ideały, czyli błyszczące cacka, bardzo pożądane, a nawet konieczne do rozjaśniania puszczy, gdy przed niespokojnym duchem człowieka pootwiera ona swe perspektywy mroczne, ogromne, monotonne i bezludne.

Nie doświadczyłem nigdy, jakimi głosami pustkowie bez nadziei i bez granic przemawia do człowieka; jednak pojmuję, że w takim kole zamknięty duch, aby nie zatracić samego siebie, sam sobie musi budować rusztowania podniebne i zawiesiwszy je kolorowymi lampkami krzepić się albo bawić ich jasnością. Pojmuję też, że z tak wielkiej odległości umiejętność wydawać się może jednym z najpotężniejszych ognisk w systemacie słońc, ku którym zwracają się źrenice, spragnione ideału. I to właśnie przejmuje mię

trwogą. Lękam się, aby przy bliższym zetknięciu się ze mną, jako, bądź co bądź, przedstawicielem nauki, nie tylko dumny Faros wiedzy nie zmalał i nie pobladł w oczach Pani, lecz aby jej własne gwiazdy, czyli te piękne lampki, palące się bezpiecznie i spokojnie nad starożytną jej siedzibą, nie zbladły i jedna po drugiej nie zagasły, pozostawiając na tle ciemnicy ogólnej otwory, z wyglądającą przez nie wiekuistą i niczym nie nasyconą próżnią.

Więc jeżeli Pani wyciągnęła do mnie rękę z celem i chęcią zbliżenia się do tego słońca, którego jestem kapłanem, to dla uchronienia Pani od zawodu ostrzegam, że z bliska oglądana twarz tego bożyszcza jest więcej martwa aniżeli żywa, że na tym słońcu są plamy i że to słońce nie grzeje. Zdarzyć by się mogło, że zamiast znalezienia pożądanych zachwytów znalazłaby się Pani wobec szyderczych pytajników i bezlitosnych negacji. Zdarzyć by się mogło, że przy tym dziwnym słońcu stałoby się Pani zimno, że opustoszałby świat ideałów Pani i wymknęłyby się z rąk przedmioty dotychczasowych ukochań i wierzeń. A szkoda byłoby tych błyszczących cacek z pewnością bardzo w życiu pożądanych, a czasem nawet koniecznych. Przykro by mi też było, gdybym to ja właśnie miał roztoczyć przed Panią podwoje tego Sezamu, który tak wiele bierze, a tak mało daje.

Jeżeli zaś łaskawe zajęcie się mną jest natury więcej osobistej, o czym skromność każe mi powątpiewać, w takim razie pozwoli mi Pani podaną dłoń uścisnąć i poprosić o względy życzliwe na przyszłość. Jesteśmy spokrewnieni z sobą przez matki, ale jak Pani może wiadomo, matka moja nie żyje już od dawna. A ponieważ od niemowlęctwa prawie jestem mieszkańcem Wiednia, więc nie dziw, że stosunki rodzinne a zwłaszcza parentela mojej matki tak się w umyśle moim zatarły, że obecnie zapytać musiałem o stopień łączącego nas pokrewieństwa. Nie należąc do najbliższych, dalekim nie jest. Że Pani chciała przypomnieć sobie o tym, szczerze dziękuję.

Głos Pani nie zastał mię w Wiedniu, gdyż natychmiast po ukończeniu prac dorocznych uciekliśmy z zakurzonego miasta pod stopy przeczystej Jungfrau. Mówię w liczbie mnogiej, ponieważ wkrótce po mnie przybył tu ojciec mój a także pani Idalia zatrzymała się nad Aarem, w drodze do Biarritz. Przedstawia się więc wcale dobra sposobność do małego familijnego zjazdu. Dla względów rodzinnych powinna Pani na kilka tygodni wyrzec się puszczy i odwiedzić tu panią Idalię.

Przyszłoby to Pani tym łatwiej, że byłby to jednocześnie hołd złożony pięknej przyrodzie, którą Pani zapewne kocha, chociaż jej bezpośrednio, tak jak ja, nie służy. Przyroda bez wątpienia wszędzie jest piękną; o takich wszakże pięknościach i czarach, w jakie tutaj się stroi, ani marzyć chyba na waszej północy. Natężenie barw i świateł bywa tu niekiedy wprost bajeczne. Jest tutaj tyle słonecznego światła i ciepła, że pomimo sąsiedztwa lodowców dni letnie przybierają pozór strefy południowej. Panuje tu przede wszystkim nadmiar światła i słońca. Jestem czcicielem światła i kosmicznego słońca. Dlatego też nie jeżdżę nigdy tam do was na północ, bo po niebie waszym przepływa więcej chłodnych łez niżeli upalnych promieni – a moje życie jest krótkie.

Bawię tu już od tygodnia i co dzień podziwiam widok roztaczający się z naszych balkonów, jak coraz nowe czarnoksięstwo.

Co dzień od strony lodowców Rodanu wzlatuje na niebo słońce; niby ognisty ptak gorejący złotem szybuje olśniewającą smugą przez firmament i za jeziorem Tuhn znika w pożarach szkarłatu i krwi. A lecąc świeci szafirowym wodom i srebrnym prądom Aaru, puszystym łąkom i lasom, olbrzymiej falandze Alp śnieżnych, które oskrzydlają nas mroźnym pierścieniem, i wreszcie nam, którzyśmy taborem stubarwnym rozłożyli się w dolinie i mrówczym rojem zalegli okoliczne góry.

Oto są widnokręgi widne i ciepłe, które nie doświadczają zaćmień. W ogólnym tryumfie światła giną tu krajobrazowe szczegóły, podobnie jak w duszy turysty giną wszystkie zaćmienia i plamy pozostawione przez życie.

Na tym błogosławionym gruncie, na tle przepysznej dekoracji alpejskich jezior, kaskad, wiecznych śniegów pragnąłbym powitać mieszkankę pustelni białowieskiej i oprowadzić ją po krainie, gdzie, mimo grzmiących w upadkach lawin, bezpieczniej mieszkać niż w uśpionych samotniach puszcz i gdzie, pomimo spiętrzonych wokół lodowców, istnieją drogi pewniejsze niż na zawrotnych szlakach ducha.

IV

Krasowce.

Pilno mi obawy Pana uspokoić i zarazem sprostować linie obrazu, który w umyśle pana odmalowała przestrzeń daleka.

Dzikości naszej bardzo dosłownie brać nie należy. Książki, dzienniki, w najrozmaitszych postaciach wieści z szerokiego świata – otrzymujemy i od dawna już bałwochwalcami nie jesteśmy. Ponieważ otrzymujemy książki i dzienniki, więc z nich, nie z ust Idalii, daleko więcej miłych, aniżeli w tym wypadku kompetentnych, wzięliśmy miarę rozgłosu, który zdobyło sobie w świecie imię Pana. Ponieważ nie jesteśmy bałwochwalcami, więc nie uderzamy czołem z oczyma zamkniętymi przed bożyszczem żadnym, choćby nim była wysoko czczona przez nas nauka. Jest w nas niejaka moc, przez którą nie dajemy bożyszczom jakimkolwiek gasić naszych gwiazd, a jednym ze źródeł tej mocy są najpewniej te łzy, o których Pan mówi, że jest ich na niebie naszym daleko więcej niżeli promieni. To prawda; lecz niemniej wydaje mi się prawdziwym, że łzy nie zawsze bywają chłodne.

Owszem. Znajduje się w nich często wiele ognia i soli; a sól to podobno znakomity oddziaływacz przeciwko anemii i tylko w skałach formacji ogniowej w obfitości znacznej znajduje się granit, rzecz, jak wiadomo, do skruszenia trudna.

Zanim powiem, co wiem o bożyszczu, którego fatalnych wpływów lęka się Pan dla moich gwiazd, opowiedzieć muszę o pewnym zwyczaju, na pozór dziwnym, który panował pośród naszych dalekich przodków.

Oto wedle świadectw wiarogodnych starożytni Litwini wnet po przyjściu na świat niemowlęcia zwilżali mu usta kroplą soku wyciśniętego z piołunu. Zwyczaj ten miał na celu przyzwyczajenie dzieci ziemi od pierwszych świtów życia do ziemskich goryczy. Przeminął od dawna, lecz tak wiecznie działalnymi są spadki brane przez pokolenia od pokoleń, że dziś jeszcze posiadamy w stopniu rzadkim możność połykania soku piołunowego bez trucia się nim i odgadywania każdej jego kropli, gdziekolwiek się znajduje. Kropla piołunowego soku przesączyła się przez zdanie Pana o słoń-

cu nauki. Mówi Pan, że oblicze jego jest więcej martwe aniżeli żywe, że ono nie grzeje i że są na nim plamy. Wiem, dlaczego takim bywa ono niekiedy.

Zdarzyło się raz, że gdy pewien pustelnik i mędrzec wielki opuszczał pustynię, kwiat myśli swej na pustyni dojrzałej w ręku dla ludzi niosąc, słońce (to kosmiczne) zaszło mu drogę i blask ogromny w twarz mu cisnęło, aby poznał, jak jest dumne i szczęśliwe. A on uśmiechnął się i rzekł: «O wspaniałe ciało niebieskie! Cóż by się uczyniło z twoją dumą, z twoim szczęściem, gdybyś postradało tych, którym przyświecasz?»

Zdaje mi się, że tak być musi z mieszkańcami wszystkich światów i ze światłem wszystkich słońc, które wówczas tylko szczęśliwymi być mogą, gdy jaśnieją nad czymś i dla kogoś!

Bo czyż jest na ziemi jakakolwiek droga ludzka bez piasków suchych, po których błądzą miraże zwodnicze, bez głuchych oniemień, wśród których straszą Sfinksy, blade od wiekuistych dumań nad zagadkami, wiekuiście nieodgadnionymi? Nie ma na ziemi takiej drogi ludzkiej, jak na niebie duszy nie ma światła takiego, które by oświecając pustkę duszy było zarazem ciepłem.

Aby pośród miraży zwodniczych i Sfinksów bladych nie omdleć i nie zwiędnąć, kwiat myśli potrzebuje wody z tego źródła, któremu mądry pustelnik przypisał szczęście słońca. Potrzebuje on kielich swój rozwijać i koronę rozwierać dla kogoś, dla czegoś kochanego. Nauka, pani marmurowa, na wozie żelaznym jadąca, wtedy krainy przebywane ogrzewa i użyźnia, gdy przed nią ze złotymi włosy rzuconymi ku celom podniebnym płynie płomienna gwiazda miłości. Wtedy marmurowa pani krainy przebywane ogrzewa, sama rozgrzana tchnieniem gwiazdy, która ogień nieci i ogniem świat przepływa.

Trzeba wiedzieć, dlaczego bada się psychologię ameby i że to jest takie malutkie ogniwko niezmiernie długiego łańcucha, na którym ziemia i to, co na niej powoli, powoli wznosi się coraz wyżej. Bez tego łatwo przy badaniach nad amebami, tak jak i przy każdej robocie innej, dostać bolesnego skurczu serca, od którego skurczą się także mózg i ręce, albo zakrztusić się suchym piaskiem pustyni srożej i śmiertelniej niż w epoce sylurskiej jakikolwiek mięczak krztusił się wodą słoną czy słodką.

Tyle o piołunowej kropli, która z ręki Pana spłynęła na ideał

nauki i – na ideały w ogóle. Wiem, że słowa moje jak żadne zresztą słowa wywabić je z duszy Pana nie mogą, ale chcę, aby Pan wiedział, że odgadując ją byłam wzruszona, że oczy moje spoczęły na niej z życzliwym i współczującym smutkiem. Bo mniejsza o pochodzenie gorzkiej kropli! Gdy w czyjej duszy jest, dusza ta staje się droższą i szanowniejszą dla człowieka, który ją również, choćby skądinąd wziętą, czuje i dźwiga w swojej.

A teraz kilka słów o klimatach.

Nie mogę obronić się chęci zapytania: w jakiej odległości od bieguna północnego umieszcza Pan Krasowce? Bo jednak, najpowszechniej, ludzie tu umierają z przyczyn wcale innych niż zmarznięcie, a bieg Lsny nie jest mniej rączy, ani prądy jej nie są mniej srebrne od biegu i prądów Aaru. Co do słońca, to było ono znane Litwinom już za czasów królowej Kruminy, która pierwsza ziemię tutejszą zasiała ziarnami różnych zbóż. Działo się to niezmiernie dawno, a wówczas już słońce jeździło po tutejszym niebie wozem, zaprzężonym w trzy rumaki, z których jeden był srebrny, drugi złoty, trzeci brylantowy. Na usługach swoich miało też dwie niebieskie dziewice, z których jedną była jutrzenka, czyli Auszra, a drugą gwiazda wieczorna czyli Wakarine, służebnice wielce czynne i gorliwe, jak się to z dwóch strof zapisanych w pamięci ludu okazuje.

Strofa pierwsza opiewa dziewczynę, która w dniu nadchodzącym spodziewa się powrotu kochanka-wojaka. Niecierpliwa i usnąć niemogąca wychodzi na próg numy z wołaniem: «Auszro! Auszro! wnijdź na ziemię! wyprządź z nocy dzień!» Ale Auszra brzeg różowego czoła nad ziemię wychylając odpowiada: «Nie mam czasu; muszę wpierw ogień dla słońca rozniecić!»

W drugiej strofie, przeciwnie, siwy dziad, któremu dnie w trzykroć wydłuża nuda starości, ku zachodowi wyciąga ręce z wołaniem:

«Wakarine! Wakarine! wynijdź nad ziemię i wyprządź z dnia noc!» Ale Wakarine złotym puklem włosów nad ziemią pobłyskując odpowiada: «Nie mam czasu; muszę wpierw słońcu łoże usłać!»

Jasnym jest tedy, że Litwini w czasach bardzo starożytnych posiadali już słońce i to możne, bogate, z zaprzęgiem brylantowym, ze służba nie byle jaką. Posiadają je i teraz, świecące może

i gorejące na sposób inny niż się to dzieje nad Alpami, lecz czyliż nie jest ono dość potężnym i niewyczerpanym, aby w każdą czynność swoją wlewać równe, chociaż i różne, wdzięki i rozkosze?

Z braku słońca ludzie biedy nie miewają, bo ono dobre, wszechwidome, wszędzie jest, wszystkim przyświeca, złotą pieszczotą otula nawet śniegowe chaty Eskimosów i jasnym promieniem jak dobroczynnym palcem wskazuje Grenlandczykowi płynącą ku jego brzegom ławę fok. Lecz bieda w tym, że istnieją w przestworzach smoki, które ze słonecznego jądra wyżerają blask i ciepło, a jednym z najżarłoczniejszych spośród nich jest smutek, który ilekroć zasiądzie w oczach ludzkich, tak chciwie wchłania w siebie blaski słoneczne, że one do oczu tych dojść nie mogą. Wielkie złote słońce świeci na niebie, lecz oczom, które zasiadł smutek, ciemno. Jest to zresztą jeden tylko z mnóstwa nieprzyjaciół, których posiada ciało niebieskie. Znali już ich starożytni Litwini i do walki z nimi wysyłali swoje olbrzymy. Tradycyjną u nas stała się walka ze smokami wyżerającymi ze słońca blask i ciepło. Czy nie uczuł Pan nigdy w żyłach swoich tej kropli krwi przodków, która uzbrajała ich przeciwko smokom?

Za zaproszenie pod stopy Jungfrau dziękuję jako za objaw uczuć życzliwych, ale w tej chwili Krasowiec opuścić nie mogę. Położenie właścicielki dużego kawałka ziemi tutaj nie jest wcale synekurą, lecz owszem, sprowadza zajęć i obowiązków mnóstwo. Teraz tu pora żniw.

Jednak zajęcia różne pozostawiają mi dość czasu na przechadzki. Dziś z rana, bardzo wcześnie, byłam w lesie i widziałam Auszrę, gdy różową wstęgą podszywała lipy, które spokojnie w sinym świcie stały z jasnymi wieńcami jemioły na ciemnych czołach. U stóp jednej z lip podjęłam coś błyszczącego. Był to liść świeżo z gałęzi upadły, gęsto osypany kroplami rosy. Każda kropla błyszczała jak brylant, a liść pachniał kwiatem lipowym i mokrym mchem. Z drobnej tej rzeczy biła taka świeżość i świetność, jakby nie wiatr tylko co strącił ją z drzewa, lecz Anioł skrzydłem porannym zwiał z raju.

Może się mylę, lecz nieraz myślałam, że subtelność drobnych tworów natury więcej jeszcze niż przepych olbrzymich odsłania zdumiewającą niezliczoność i delikatność nici, którymi zasnute są krosna Arcymistrza-Stwórcy. Zresztą, aby wszędzie i we wszystkim uczuwać cuda natury, trzeba tak jak Boga mieć ją w sercu.

Upały panują tu silne. Co dzień od strony niezmiernych mokrzadeł Nikaru słońce wyjeżdża na niebo złotymi i brylantowymi końmi, pędzi olśniewającą smugą przez firmament, a pędząc świeci gotyckim wieżycom świerków, przezrocznym kolumnadom sosen, lipom stojącym w jasnych wiankach jemioły, jeleniom pojącym się u srebrnych prądów Lsny, Gwoźny, Narewki, Jelonki i – polom, jak wzrokiem zarzucić, rozległym, których złote przestworza okrywają roje istot nisko nad ziemią schylonych, stalą sierpów błyskających, oblanych znojem pracy... Nie mogę opuścić Krasowiec.

Jednak pragnę brać duchem udział w zjeździe rodzinnym. Niech Pan przypomni mię pamięci ojca swego, który w porze mego dzieciństwa bywał czasem w Krasowcach gościem mego ojca, a Idalię serdecznie ode mnie pozdrowi. Z Panem zaś – do bliskiego rozmawiania! Proszę, aby dalekim nie było. Bardzo chętnie mówić będę Panu o tutejszym słońcu i nawzajem słuchać o – tamtejszym, a jeżeli Pan tę chęć moją podzieli, może w tej skromnej girlandzie, którą ku Panu zarzuciłam, rozkwitnie dla nas jaki trójliść dobrej wróżby.

V

Interlaken.

Wzgardziła więc Pani naszym alpejskim rajem, wzgardziła blaskiem helweckich lodowców i srebrną wrzawą, z którą młode strumienie żegnają swe kolebki staczając się w przepaść. Wrzawa ta byłażby krzykiem trwogi przed długim i płaskim życiem na nizinach, gdzie wypadnie im ze zgodną biernością splatać się w prądy coraz potężniejsze i szerokimi wstęgami rzek spławnych dążyć przez rozłogi Europy na północ?

Szkoda wielka, że nie przyjedzie Pani do Szwajcarii, bo pra-